Hubert Orzechowski, Newsweek, nr 42, 8-14.10.2018 r.

Wyrzuty sumienia? Brak. Setki tysięcy ofiar cywilnych i kompletnie zburzone miasto? Tak mi siało być - twierdzili dowódcy AK, którzy najbardziej parli do powstania warszawskiego.

Dwudziesty czwarty września 1944 roku. Dogorywa powstanie, w którym śmierć poniosło około 16 tysięcy żołnierzy oraz 150-200 tys. cywilnych mieszkańców stolicy. Zniszczona została większość zabudowy lewobrzeżnej Warszawy. Przygnębiony Jan Nowak-Jeziorański, emisariusz rządu londyńskiego, rozmawia z gen. Leopoldem Okulickim „Niedźwiadkiem".

Nowak-Jeziorański relacjonował: „Generał robił wrażenie człowieka pełnego animuszu. Był w dobrym nastroju. Zbliżający się koniec powstania najwidoczniej nie zdołał go złamać, a rozmowę zaczął od zapowiedzi, że za kilka dni Warszawa padnie. Jakby dla zilustrowania tego stwierdzenia klapnął się obu dłońmi po udach. Byłem zaszokowany tą beztroską formą, w jakiej gen. Okulicki zamknął potworną tragedię miasta i kraju".

Okulicki nie był pierwszym lepszym rozmówcą. Po powstaniu to jemu gen. Tadeusz „Bór" Komorowski przekazał dowodzenie AK, a raczej tym, co z niej zostało.

„Niedźwiadek" był jednym z najbardziej gorących orędowników powstania. Razem z szefem sztabu KG AK gen. Tadeuszem Pełczyńskim „Grzegorzem" i dowódcą warszawskiej AK płk. Antonim Chruścielem „Monterem" wywierali na „Bora" niebywałą presję, by powstanie się zaczęło. „Bór" zadecydował o rozpoczęciu insurekcji, choć jeszcze 10 dni przed 1 sierpnia był jej zagorzałym przeciwnikiem.

SOWIECI ZA WISŁĄ

Z grona wymienionych wyżej oficerów Okulicki żył najkrócej. Zmarł (bądź został zamordowany) w więzieniu na moskiewskich Butyrkach w grudniu 1946 roku. Wiemy, że przed śmiercią co

najmniej trzy razy oceniał sens powstania warszawskiego. I za każdym razem miał inne zdanie.

Pierwsza ocena to kompleksowy raport z października 1944 r., powstały w nowej komendzie AK, kierowanej już przez Okulickiego. To lektura szczególna, bo napisana na gorąco - tuż po zakończeniu walk.

Wnioski z raportu są zaskakujące. Jego autor - a był nim zapewne sam „Niedźwiadek" - nie ma wątpliwości, że przyczyną klęski nie była bierność Armii Czerwonej, ale załamanie jej ofensywy w bitwie z czterema doborowymi dywizjami niemieckimi, które zostały rzucone na front pod Warszawą. Czytamy: „Wojska niemieckie wsparte tymi posiłkami unieruchomiły przyczółek sowiecki w rejonie Warki, zatrzymały próbę sowieckiego przedarcia się na północ od Warszawy, a nade wszystko - w wielkiej bitwie wojsk pancernych pod Wołominem w dniach 4 i 5 sierpnia - zadały decydujący cios idącym na Warszawę wojskom sowieckim. Tak więc losy bitwy o Warszawę zostały przesądzone w bitwie sowiecko-niemieckiej 4 i 5 sierpnia".

I dalej autor podkreśla: „Nie jest słusznym przypuszczenie, że wojska sowieckie nie zajęły Warszawy dlatego, że pragnęły zniszczenia polskiego centrum niepodległościowego. Prawdą natomiast jest, iż w dniach 4 i 5 sierpnia Sowiety przegrały własną bitwę o Warszawę".

Druga ocena Okulickiego to pisany dwa miesiące później list do prezydenta RP na uchodźstwie Władysława Raczkiewicza. Okulicki kompletnie już zmienił zdanie i przekonywał, że Rosjanie rozmyślnie wstrzymali ofensywę, licząc, że powstanie zostanie szybko zmiażdżone niemieckimi rękoma. Ta wybielająca AK interpretacja stała się na długo w Polsce obowiązująca.

Trzeci dokument to zeznania złożone w NKWD po aresztowaniu Okulickiego wraz z 15 innymi przywódcami Polski Podziemnej w marcu 1945 roku. Bierze w nim pełną odpowiedzialność za wybuch powstania, przyznaje, że jeśli ktoś powinien odpowiadać za to przed sądem, to właśnie on, a w dalszej kolejności Jan Stanisław Jankowski - czyli delegat na kraj rządu w Londynie. Podkreśla, że gdyby nie było powstania, to „przyszłe pokolenia polskiego Narodu, jak również innych państw, musiałyby nas osądzić jako tchórzów, którym brakło odwagi w decydującym momencie". Tym samym dołożył cegiełkę do narodowej legendy, że powstanie warszawskie może i było straszliwą klęską, ale przynajmniej ocaliło „ducha narodu".

PEŁCZYŃSKI SIĘ WŚCIEKŁ

Ten ostatni wątek najczęściej jest obecny we wspomnieniach gen. Tadeusza Pełczyńskiego „Grzegorza". Szef sztabu Komendy Głównej AK był człowiekiem o wyjątkowo silnej osobowości, którą przytłaczał skłonnego do wahań i niemającego doświadczenia operacyjnego „Bora".

Pełczyński był gorącym zwolennikiem walki z Niemcami w Warszawie. I bronił zaciekle tej decyzji do końca życia, choć przyznawał, że klęski się spodziewał.

„W Warszawie widzieliśmy wielkie zgrupowanie sił wojskowych i policyjnych.

Widzieliśmy ich materialną przewagę nad nami. Ale widzieliśmy również, że są oni już psychicznie zachwiani przez zbliżającą się, nieuchronną klęskę ostateczną, którą musieli widzieć i odczuwać. Wszyscy Niemcy wiedzieli po zamachu na Hitlera, że dyscyplina już się załamała. Społeczeństwo polskie górowało nad nimi mocą ducha" - twierdził po wojnie.

Londyn, 1957 rok. Stefan Kisielewski, w czasie powstania pracownik Radia Błyskawica, którego felietony pozwalały zachować ludności nadziej ę, że nie wszystko stracone, spotyka Pełczyńskiego. Jak sam opisuje: „Mówię: »Fortepian. Smoking. Biblioteka po ojcu«. Pełczyński: »Co?«. Mówię: »Przepadły mi w powstaniu warszawskim 1944 roku i chcę wiedzieć dlaczego!«. Tadeusz Pełczyński wściekł się, wyzywał mnie od demagogów. Rozstaliśmy się niedobrze. Był to porządny człowiek, ale ewidentnie Warszawę zburzył".

Sam generał z patosem bronił po wojnie decyzji dowódców AK: „Nasz wybór był prosty: albo nie występujemy czynnie i Polska przestanie istnieć, albo w stolicy wybucha powstanie i w głębi ciemności zapalamy wielki płomień, który poprowadzi przyszłe pokolenia jak zbawcza gwiazda przewodnia".

Na taką ocenę generała najpewniej wpłynęły też względy osobiste. W walkach na Mokotowie Niemcy śmiertelnie ranili jego jedynego, ukochanego syna Krzysztofa. Zmarł 17 sierpnia. Miał więc powody, aby post factum racjonalizować decyzję. Przy każdej okazji podkreślał, że powstanie było koniecznie – chodziło o to, aby spadły maski i alianci zajęli wreszcie jasne stanowisko wobec Polski, a świat zobaczył prawdziwe oblicze Stalina.

LOGIKA TATARA

Wedle relacji płk. Janusza Bokszczanina „Sęka” z KG AK jeden z najważniejszych dowódców AK gen. Stanisław Tatar we wrześniu 1943 roku przedstawił na jednej z odpraw analizę przyszłych losów Polski. Oceniał, że Armia Czerwona wkroczy do Polski, a wtedy: „Albo się prowadzi wojnę, albo trzeba się poddać, nie ma innej możliwości. Skoro nie mamy środków, aby się bić, powinniśmy się poddać. Naszą jedyną nadzieją jest to, iż uda nam się ułagodzić Rosję, dając im jak najwięcej dowodów naszej dobrej woli”.

Inni oficerowie AK byli wściekli. Pełczyński zarzucił Tatarowi chęć bolszewizacji Polski. „To jest logika Tatara, logika odgrywa jednak tylko ograniczoną rolę w polityce” - miał powiedzieć. Nie dopuszczano scenariusza, że Sowieci wkroczą do Polski. Łudzono się, że będzie trwać wojna na wyniszczenie, która osłabi i Rosjan, i Niemców.

Armia Czerwona przekroczyła jednak przedwojenną granicę polsko-radziecką raptem 100 dni po prezentacji Tatara. Trzy miesiące później generała już w Warszawie nie było. Decyzją KG AK nielubiany przez kolegów oficer został wysłany do Londynu.

Do powstania było coraz bliżej. Po 20 lipca 1944 r., czyli zamachu na Hitlera w Wilczym Szańcu, sztab AK przekonywał, że klęska Niemiec jest bliska. Jeszcze 6 sierpnia Antoni Chruściel „Monter” pisał w odezwie do ludności i powstańców: „Przewaga nie jest już po stronie Niemców. Dzięki zwycięstwom naszych aliantów i ich sojuszników Niemcy staczają się ku przepaści”.

A jeszcze miesiąc później „Bór” Komorowski pytał w depeszy naczelnego wodza, czy „działania na zachodzie mogą w najbliższych dniach przynieść zakończenie wojny?”.

„Wiara i pewność zwycięstwa były niezachwiane. A najmniejsze wątpliwości czy zastrzeżenia były kwalifikowane jako małoduszność i defetyzm” - opowiadał płk Bokszczanin, w KG AK największy przeciwnik zrywu.

Na drugim biegunie był „Monter”, który za wszelką cenę parł do walki. To jego fałszywy meldunek o czołgach radzieckich widzianych już na Pradze stał się bezpośrednią przyczyną podjęcia przez „Bora” decyzji o rozpoczęciu powstania 1 sierpnia.

Jak samego „Bora” Komorowskiego oceniali inni oficerowie AK? Zdania były podzielone. Część zarzucała mu chorobliwą ambicję, którą chciał zaspokoić tytułem wyzwoliciela stolicy z rąk niemieckich. Inni - jak jego przyjaciel płk Kazimierz Iranek-Osmanecki, odpowiedzialny w KG AK za wywiad (to on zdementował informację „Montera” o sowieckich tankach, ale „Bór” stwierdził, że już za późno na odwołanie rozkazu), bronili go, tłumacząc, że uległ presji palących się do walki dowódców niskiego szczebla.

Chruściel jeszcze pod koniec września 1944 roku przekonywał powstańców, że zwycięstwo jest już blisko. To on także stał za realizacją planu odsieczy dla Starówki ze strony Śródmieścia, która skończyła się straszliwą masakrą akowców. Dowódca warszawskiej AK był jednak tak pewny jego powodzenia, że zaprosił na pole walki Nowaka-Jeziorańskiego, który miał zdać z niego hurraoptymistyczną relację radiową.

BUTY W PODZIĘCE

Po wojnie „Monter” nie zmienił stanowiska. W wydanej w Londynie w 1948 roku broszurze „Powstanie warszawskie” pisał: „Walka wydobyła na wierzch pierwiastek dumy narodowej oraz bohaterstwo, które w dziejach naszych odmiennie od innych narodów doprowadziło nieraz do ocalenia państwa w warunkach, które mogły innym wydawać się beznadziejne (...) Zakończenie walki nie pomniejszyło ani u swoich, ani u obcych aureoli chwały, jaką się okryła dumna stolica Polski”. Twierdził, że powstanie było wysiłkiem budzącym „podziw całego świata”.

A co z ogromem ofiar - zarówno żołnierzy, jak i cywilów? „Wszyscy, którzy rozpoczynali walkę, wiedzieli, że idą na pewną śmierć. Pozostali przy życiu zazdrościli poległym. Nadziemska siła rozpłomieniała serca”.

A „Bór”? Nie był zagorzałym obrońcą straceńczej walki, ale chyba bardziej wynikało to z jego niekonfliktowego charakteru. Jan Nowak-Jeziorański wspominał, że kiedy pracował nad pierwszym, anglojęzycznym wydaniem wspomnień komendanta głównego AK, spytał go o najsilniejsze wspomnienie z czasów walk. Spodziewał się usłyszeć relację z jakiegoś

konkretnego zdarzenia. „Bór” w czasie powstania przeszedł wiele: walczył, był ranny po wybuchu przechwyconego niemieckiego czołgu na Starówce, ewakuował się kanałami ze Starego Miasta do Śródmieścia. Tymczasem Komorowski wspomniał o żołnierzach, którzy... w prezencie przynieśli mu piękne hiszpańskie buty.

„Bór” Komorowski jako dowódca AK zdał za to na pewno jeden egzamin - z przyzwoitości. Nie próbował wywieźć poza Warszawę swej ciężarnej żony ani małej córki. - Nie mogłem uprzedzić wszystkich kobiet w ciąży, jakie były w Warszawie, aby uciekały z miasta, więc nie mogłem robić wyjątku wobec żony - tłumaczył w powojennym wywiadzie. Irena Komorowska przeżyła powstanie. Wraz z dwójką dzieci dołączyła po wojnie do męża na emigracji w Londynie.

Opracowanie: Aron Kohn, Hajfa